

JĘZYK POLSKI

WYDAWNICTWO KOMISJI JĘZYKA POLSKIEGO
AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

SŁOWO WSTĘPNE.

Rozpoczynając w styczniu roku 1913 wydawnictwo miesięcznika »Język Polski«, mówiliśmy o znaczeniu, jakie język posiada dla człowieka wogóle i o płynących stąd obowiązkach. Mówiliśmy także o tem wyjątkowem znaczeniu, jakie język ojczysty ma dla nas, Polaków, w ciężkich warunkach życia narodowego; o szczególnych niebezpieczeństwach, na jakie jest narażony, i o wynikającej stąd potrzebie tem większej obrony i pielęgnowania. Zmieniły się od tego czasu te warunki ku niewysłowionej naszej, mimo wszelkich bólów, radości; ale trudnemi jeszcze długo pozostaną i dlatego trzeba z naszej strony wysiłku ciągłego, pracy, pracy i jeszcze raz pracy. Na każdym polu; zarówno na niwie chleba powszedniego, jak w dziedzinie ducha i słowa: dobra, prawdy i piękna. A więc także na polu tego niezbędnego i swoistego dobra, jakim jest mowa dla wszystkich ludzi, a język ojczysty dla każdego narodu.

W poczuciu tych obowiązków utworzyła się w łonie Akademji Umiejętności osobna komisja, poświęcona sprawom języka polskiego i podjęła przerwane wskutek wojny wydawnictwo »Języka Polskiego«, który staje się obecnie jej organem. Będzie tedy »Język Polski« łącznikiem między Komisją a społeczeństwem w tych wszystkich sprawach, będzie czuwać nad życiem i potrzebami polszczyzny, zaznajamiać ogół z wynikami pracy naukowej w stosownym zakresie i mierze, szerzyć zrozumienie dla zjawisk językowych, wogóle będzie się starać być takim »Językiem Polskim«, żeby jak najszersze koła czytelników i współpracowników dla dobra naszej mowy ojczystej zespolać.

Do Komisji należą na razie: przewodniczący J. Łoś, zastępca przewodniczącego J. Rozwadowski, sekretarz Z. Paulisz; członkowie: T. Benni, T. Browicz, I. Chrzanowski, St. Ciechanowski, J. Czubek, A. Danysz, J. Kallenbach, J. Kasprowicz, A. Kleczkowski, E. Klich, K. Morawski, K. Nitsch, A. Passendorfer, J. Rostafiński, M. Rudnicki, I. Stein, St. Szober, K. Tetmajer, J. Tretiak, St. Zathey, R. Zawiliński, J. Zborowski, St. Żeromski.

Komitet redakcyjny stanowią: J. Łoś, K. Nitsch. J. Rozwadowski i sekretarz Z. Paulisz.

O zjawiskach i rozwoju języka.

7. Mowa a myśl.

»Zdanie jestto myśl wyrażona słowami«; »mowa służy do wyrażania myśli« — oto zwykłe szkolne określenia, do których życie dodaje co najwyżej jeszcze to, że mowa służy nieraz także do »ukrywania myśli«; ale to nie zmienia nic zasadniczo. Otóż nie myślę napadać na te określenia, chciałbym je tylko niejako lepiej przykręcić i dopomóc czytelnikom do łączenia z nimi właściwej treści, bo na tem wszystko zależy. Żadne określenie nie zastąpi zrozumienia.

Zauważmy przedewszystkiem, że mowa wyraża nietylko myśli, ale także uczucia, nastroje, postanowienia i zamiary. Jestto bezpośrednio jasne, a z tego wynika, że w tych szkolnych określeniach trzeba »myśl« brać w obszerniejszem znaczeniu, każdej treści psychicznej i tych treści zespołu, albo też wyraźnie »uczucia i wolę« dodawać. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że ogromna większość wyrazów oznacza pojęcia, ale równie pewnem jest, że mimo tego conajmniej połowa, jeżeli nie więcej, wszystkiego tego, co ludzie mówią, wyraża nastroje, uczucia i różne akty woli. I niema w tem sprzeczności, jak to zaraz zobaczymy.

Przypomnijmy sobie najpierw, że wyobrażenia i pojęcia zawierają zawsze i koniecznie jakiś żywiół uczuciowy, taki czy inny, przelotny lub stały, słaby albo silny. Naprzykład nazwy różnych chorób i kalectw, wogóle różnych fizycznych właściwości, przyjemnych lub wstrętnych, nazwy różnych zwierząt i gadów, potraw i przysmaków, zabaw i wielu innych rzeczy mają stały i silny składnik uczuciowy, skutkiem czego np. nazwy rozmaitych zwierząt i chorób stają się przezwiskami i przekleństwami. A cóż dopiero mówić o chwilowych nastrojach, nieustannie napływających, w których najpospolitsze wyrazy, same przez się całkiem obojętne, nabierają okolicznościowo uczuciowego zabarwienia! »C'est le ton qui fait la chanson«, mówią trafnie Francuzi; oczywiście! Wszakże ten sam wyraz może być obelgą i pieszczotą — zależnie od okoliczności i tonu, czyli nastroju.

Pamiętajmy tedy po wtóre, że bardzo wiele elementu nastrojowego, wzruszeniowego nie wypowiada się wogóle osobnemi wyrazami, tylko intonacją, która nadaje właściwy smak temu, co się

mówi. Wyraża się to niezmiernie bogatą modulacją głosu i gra pierwszorzędną rolę, ale na piśmie tego nie widać i dlatego ludzie są skłonni element wyrazowy uważać za ważniejszy.

Po trzecie: nawet tam, gdzie są osobne wyrazy dla oznaczania uczuć i woli, pochodzą one prawie zawsze z wyrazów pojęciowych, polegających ostatecznie na wrażeniach zmysłowych; np. tak zwane przenośnie *gryźć się, zgryzota, pogodne* usposobienie, *pragnąć* (: *prążyć*); *postanowić, rozstrzygnąć* i t. d.; i wogóle mnóstwo wyrazów i wyrażań, używanych od rana do nocy i niby pojęciowych, ma naprawdę znaczenie tylko nastrojowe, jak np. *padam do nóg, czołem, całuję rączki, dzień dobry*, żeby tylko jeden moment i jeden rodzaj przykładów przytoczyć.

Wyrazy, brane z osobna, niewątpliwie wyrażają przeważnie pojęcia, ale nie zapominajmy po czwarte o tem, że jednak nie setek, ale tysięcy takich wyrazów wogóle rzadko, wyjątkowo używamy, i jeżelibyśmy porównywali z sobą tylko wyrazy i zwroty często, codziennie używane, to z pewnością wtedy jużby takiej przewagi po stronie pojęć nie było.

Bo uprzytomnijmy sobie wreszcie, że człowiek znajduje się w nieustannym prądzie uczuciowym; jego życie to, obok wrażeń, ciągle falowanie nastrojów. Ileż czasu i energii zabierają choćby tylko same prośby, modlitwy, miłosne zwierzenia i namowy, liryki, żarty i złości! Jakże wiele z tego, co się mówi lub pisze, zawiera treść czysto lub przeważnie uczuciowo-nastrojową!

Ale, rozpatrując kategorie wyrazowe, czyli części mowy, znajdziemy tylko jedną wyłącznie uczuciową, a mianowicie klasę wykrzykników, i jak wiemy, jest to właśnie klasa odrębna, swoista pod każdym względem, raczej zdaniom niż wyrazom co do funkcji odpowiadająca, właśnie dlatego, że to są twory językowe, mające treść wyłącznie uczuciową. Spójniki i partykuły zawierają często także treść prawie wyłącznie subiektywną, ale są to fakty przeważnie drugorzędne.

Toby było zatem jedno: język, chociaż jako system tworów wyrazowych oznacza przedewszystkiem pojęcia, to jednak mimo tego wyraża niemniej uczucia i wolę jak myśli, a nawet ta strona ma ogromnie doniosłe znaczenie dla całego rozwoju.

Poza tem zwykła definicja języka nastręcza jeszcze dwie uwagi. Jedna dotyczy potrzeby unikania fałszywego, a tak pospolitego i szkodliwego teleologicznego pojmowania zjawisk życiowych z człowiekiem jako ośrodkiem, dla którego zgóry wszystko jest przeznaczone i który niejako swój rozwój celowo sobie urządza. To pojmowanie przebiega we zwrocie, że język służy »do wyrażania« myśli, jak gdyby język

był czemś poza człowiekiem, zupełnie odrębnem od jego myślenia i wogóle życia psychicznego. Mowa nie »służy do wyrażania«, tylko poprostu i przedmiotowo wyraża jako strona fizyczna stronę psychiczną przebiegów, tworzących jedność, a pojęcie celu i środka powstaje dopiero drugorzędnie. Wystarczy zastanowić się nieco nad najpierwotniejszymi tworam językowemi, jakimi są prymarne wykrzykniki, zwykłe *a!* naprzykład, wyrzucone jako czysty odruch, z odpowiednią siłą, trwaniem i tonem czy raczej wrzaskiem, w którym się bezpośrednio wyładowuje pewne doznanie: tu niema mowy o żadnym celu ani środku; to tylko z bólu albo strachu albo zadziwienia człowiek mimowoli »się udarł«! Na ten punkt kładę osobno nacisk i to w sposób dosyć jaskrawy, żeby przestrzec przed logiczno-celowem rozpatrywaniem zjawisk językowych.

Wreszcie ostatni dodatek do szkolnego określenia: język nie tylko wyraża czyli oznacza myśli i nastroje człowieka dla drugich, ale także dla człowieka samego, albo innemi słowy nie tylko się ludzie zapomocą języka porozumiewają, ale człowiek sam dla siebie utrwała nim i notuje swoje wewnętrzne przebiegi i treści i przez to walną pomoc zyskuje w swoim intelektualnym rozwoju. Mowa wogóle nie jest wprawdzie tem samym, co myślenie i tylko myślenie, a wyrazy nie są jedynie pojęciami, choćby tylko dlatego, że względnym, ale dziś jeszcze widocznym początkiem i rdzeniem języka jest życie emocjonalne, ale bądźco bądź wyraz jest dla myśli tem, czem kośćiec dla ciała, a język jako całość jest dla myśli ludzkiej rodzajem wielkiego, porządnie ułożonego, zawsze dostępnego repertorium czy słownika.

Skoro stosunek wyrazu lub powiedzenia do odnośnej treści psychicznej jest stosunkiem znaku, to musi polegać na stałym skojarzeniu obu tych czynników, ale podstawa tego skojarzenia może być mniej lub więcej istotna i ścisła, i staje przed nami stare bardzo zagadnienie, czy stosunek między wyrazem czyli nazwą, to jest tem określonym brzmieniem, tym danym tworem językowym artykulacyjno-akustycznym, a odnośnem pojęciem czyli znaczeniem jest istotnie przyczynowy, czy też polega tylko na zewnętrznym, nieistotnem skojarzeniu; czy może ten stosunek jest pośredni między temi biegunami. Pomijam historyczną stronę całego tego zagadnienia, jak ono się w różnych czasach przedstawiało i jak na nie odpowiadano; a spójrzmy odrazu na rzeczy własnymi oczyma i w sposób nieuprzedzony. Otóż jest cały szereg faktów, dowodzących, przynajmniej na pozór, nieistotności związku, a mianowicie po pierwsze istnienie tylu najrozmaitszych języków i narzeczy, a szczególnie biorąc fakt, że najzupełniej te same pojęcia są na świecie ozna-

czone tysiącami najróżnorodniejszych tworów fonetycznych, dajmy na to *kon lošad at arklys Pferd cheval horse...*; po wtóre fakt, że ten sam mniejwięcej kompleks fonetyczny w jednym języku znaczy to, a w drugim całkiem co innego, np. niem. *ja* »tak jest«: pol. *ja*, franc. *pan* (pisane *panne*) »sadło«: pol. *pan*, franc. *ilemalad* (*il est malade*) »jest chory«: pol. *ile ma lat* (*ona*) itd.; po trzecie fakt, że ten sam kompleks fonetyczny może w tym samym języku oznaczać całkiem różne pojęcia, np. franc. *sā* (z nosowem *a*) »bez (przyimek); krew; śto; czuje (-ę, -sz); zmysł« (pisane *sans; sang; cent; sens* i *sent*) i setki homonimów i t. z. dwuznacznych słów; wreszcie po czwarte fakt, że ten sam wyraz może z biegiem czasu nabrać nie tylko całkiem innego znaczenia, ale nawet wprost przeciwnego, np. *łączyć*, które dawniej, jak i dziś jeszcze miejscami, znaczyło właśnie »rozłączać«, żeby choć jeden przykład przytoczyć. Z tego wszystkiego wynika tedy jasno, że zewnętrzny wygląd wyrazów, ich rzeczywiste, obiektywne brzmienie jest jako takie dla ich znaczenia czyli w stosunku do odnośnych pojęć czemś nieistotnem, czemś, jak się to mówi, przypadkowym, chociaż tak się mówić nie powinno. Bo rzeczywiście trudno się z drugiej strony człowiekowi z tem pogodzić. Z uporem powracano po wiele razy do teorii, że głoski czyli brzmienia muszą coś znaczyć, a robili to nie tylko dyletanci, ale także zawodowi językoznawcy; et żeby przytoczyć najbliższy mi przykład, w pracy »*Wortbildung und Wortbedeutung*« wyraziłem się na str. 101: *Dass der Laut oder das sprachliche Element (Phonem) eine Bedeutung haben muss, d. h. dass derselbe der physische Exponent einer psychischen Tatsache sein muss, das ist wohl ganz klar.* Sprawa jest nieco trudna, ale przy dobrej woli i skupieniu uwagi można jej dać radę. Z jednej strony jest mianowicie rzeczą jasną, że to »znaczenie« głosek musi, względnie musiało być innego rodzaju niż znaczenie całych skupień głoskowych, czyli wyrazów i powiedzeń, a po wtóre, że mówiąc o »znaczeniu głosek«, chcemy wydobyć bardzo odległe podstawy całego rozwoju językowego; że się cofamy w badaniu w gruncie rzeczy do stanu przedjęzykowego, o ile, mówiąc o języku, mamy na myśli zawsze coś choćby tylko w przybliżeniu podobnego do historycznie znanych języków. Te podstawy oczywiście leżą na dnie języków, ale można je porównać do fundamentów wspaniałej budowy, koniecznych i istniejących, ale niewidzialnych, bo dalszym rozwojem zupełnie nakrytych. Ale, chociaż niełatwo, te podstawy dadzą się wykazać.

Po pierwsze, wbrew zaznaczonej różnorodności fonetycznej języków, to jest ich tworów wyrazowych, spotykamy w zakresie pierwotnych czyli prymarnych wykrzykników wszędzie, w najrozmaits-

szych językach, te same albo podobne głoski i proste twory fonetyczne, a mianowicie głoski z gatunku *a e o i u*..., twory ze wstępnym zwarcim krtani *'a 'e 'o*..., ewentualnie z następowem zwarcim *a' e' o'*..., albo obustronnem *'a'*..., twory z rodzaju *ha he*... lub *χα χε*..., *ah oh*..., lub *αχ οχ*..., wyrażające silne afekty zdziwienia, gniewu, strachu, bólu, szyderstwa itd. Już tu mamy prototypy niby pierwotniaki samogłoskowe i spółgłoskowe; spółgłoskowe twory pierwotne występują przedewszystkiem w postaci różnych syków, mlaskań, cmoknięć, świstów itd. I jużci jasną jest rzeczą, że jak dzisiaj tak i przed stu tysiącami lat, jeżeli ktoś chciał np. kogoś przestrzec przed obecnością bliskiego wroga, który mu bezpośrednio zagrażał, to nie huknął pełną gębą i głośno szerokiego *a*, tylko syknął cicho. I taksamo jasną jest rzeczą, że węższe głoski wokaliczne wyrażały mocniejsze uczucia niż szerokie, bo stoi to w bezpośrednim związku z ilością drgań itp. itp. I otóż, po wtóre, głoski różnią się bardzo między sobą wysokością tonu, czystością rezonansu ustnego czyli jasnością, pełnią głosu, nosowością itd., a wszystko to są bez najmniejszej wątpliwości zasadnicze elementy »różnego znaczenia!« Potwierdza się to też np. faktem, że w zakresie wskazujących zaimków i partykuł zaimkowych w wielu językach postaci z jasną samogłoską (typ *si*) wskazują bezpośrednią bliskość, a postaci z niską samogłoską (typ *sa*) oddalenie. Albo np. w najrozmaitszych językach wszystkich części świata spotykamy kompleksy fonetyczne w rodzaju *tam tam*, *dam dam*, *dyn dyn*, *dzyn dzyn* itd. itd., składające się zatem zgodnie z trzech elementów: zwarcia, głosu wokalicznego i nosowości, i wyrażające różnego rodzaju przyrządy »muzyczne« i ich głosy. A więc należą tu także elementy pierwotnej onomatopoei.

We wszystkich tych wypadkach należy tylko usilnie przestrzec przed niekrytycznym i naiwnym dopatrywaniem w głoskach jednego, własnego dajmy na to, języka różnorodnych pierwotnych znaczeń; rzecz to, jak niegdyś, za czasów Platona i Kratyła, tak po dziś dzień bardzo pospolita wśród ludzi, nie mających wyobrażenia o lingwistyce, a polega na niekrytycznym myśleniu i dziecinnej samozłudzie. Poprostu znaczenie wyrazu, to jest odnośne pojęcie kojarzymy tak ściśle z jego brzmieniem, że wydaje nam się, jak gdyby między tem brzmieniem a tem znaczeniem był bezpośredni, aktualny związek przyczynowo-istotny, a tymczasem związek istotny wprawdzie jest, ale tylko genetyczny, rozwojowy i bardzo odległy!

Jan Rozwadowski.

Podział na części mowy.

(Z powodu »Gramatyki języka polskiego« St. Szobera).

Dotychczas uczyliśmy się wszyscy, że mamy 9 części mowy, 5 odmiennych: rzeczownik, przymiotnik, liczebnik, zaimek i czasownik, czyli słowo, oraz 4 nieodmienne: przysłówki, przyimek, spójnik i wykrzyknik. Odmiennie sprowadzano też do trzech głównych: imienia, zaimka, czasownika, albo nawet dwu: wyrazów odmienianych *a)* przez przypadki i *b)* przez osoby, czasy, tryby i t. d. Były przy tem częściowe wahania i niekonsekwencje np. odróżniano zaimek od imienia, ale nie odróżniano przysłówków imiennych od zaimkowych; zarówno nieosobową, bezczasową i beztrybową formę bezokolicznika, jak formy imiesłowu odmiennego i nieodmiennego zaliczano do czasownika; niektóre wyrazy nieodmienne poczytywano za przysłówki lub za przyimki, a dla innych żadnej osobnej nazwy nie miano (np. pytajne *czy*, przeczące *nie*), albo je uznawano tylko za przydatki do innych wyrazów np. *-że*, *-no*, *-li* itd. (*idźże*, *dajno*, *chceszli*). Przy ściślejszej analizie natrafiano na dalsze i znaczniejsze trudności.

To wskazuje, że ten odwieczny system, powszechnie przyjęty w gramatyce zarówno szkolnej, jako też i ściśle naukowej, niezupełnie odpowiada potrzebom głębszego rozbioru. Dotyczy to zresztą nie tylko podziału na części mowy, gdyż w ogólności powszechnie utarta systematyka gramatyczna często nie zgadza się ze ściślemi wymaganiami zasad klasyfikacji, a mianowicie z wymaganiami jednności zasady podziału. Gramatyka, jako nauka o formach językowych, z natury rzeczy powinna materiały językowy rozkładać według cech formalnych; ponieważ jednak na istotę tworów językowych składa się oprócz formy także i treść, w tych formach zawarta, przeto w klasyfikacji bierze się też pod uwagę i znaczeniowe pierwiastki tworów językowych. Zasadniczo jedno drugiemu nie przeszkadza: możnaby za pierwszą podstawę podziału na główne części mowy wziąć cechy formalne, w drugim zaś rzędzie — cechy znaczeniowe, na których oparłyby się podziały. Tego jednakże nie przeprowadzono konsekwentnie w żadnej gramatyce ani w żadnym większym jej dziele i stąd pochodzą różne niezgodności i niedogodności, jak np. nieustalony podział na deklinacje, konjugacje i t. d. Cała systematyka gramatyki powinaby wogóle ulec gruntownej rewizji i reformie.

Pochodzi to stąd, że dzisiejsza systematyka powstawała stopniowo, niejako przygodnie i że tworzyli ją albo filozofowie dla ce-

łów niejęzykowych, albo gramatycy, mający znowu wyłącznie praktyczne cele przed oczyma; w ogólności nie postarano się o to, ażeby oprzeć się tutaj na zasadzie fundamentalnej i nie dbano o przeprowadzenie jej konsekwentne we wszystkich szczegółach. Najdawniejszy podział materiału językowego na części mowy wiąże się z imieniem Demokryta (między 460 a 360 r. przed Chr.) i Platona (427—347), którzy odróżniali tylko imię (*ὄνομα*) i czasownik (*ῥῆμα*); tęsam podział, najpewniej niezależny od greckiego, znajdujemy u najstarszego gramatyka indyjskiego, Paniniego, który żył między IV a II wiekiem przed Chrystusem: odróżnia on deklinowane imię i konjugowany czasownik w przeciwstawieniu do wszystkich innych wyrazów nieodmiennych. Widzimy z tego, że i filozofowie greccy (może nieświadomie), i gramatyk indyjski (na pewno świadomie) za pierwszą podstawę do wyróżnienia części mowy wzięli cechę formalną, t. j. fleksję lub jej brak, i stąd rozróżniali: 1) części mowy odmienne: a) imię b) czasownik; 2) części mowy nieodmienne. Dzisiejsze części mowy odmienne łatwo się sprowadzają do tych samych dwu grup głównych, o ile zaimki zaliczylibyśmy do imion.

Później inni filozofowie greccy zajmowali się udoskonaleniem tej klasyfikacji, ale nie trzymali się już podstawy formalnej, lecz częściowo wprowadzali zasadę znaczeniową: Arystoteles do klas dawniejszych dodał łącznik czyli słowo posiłkowe (*συνδεσμός*) i rodzajnik (*ἄρθρον*), poza tem jednak — jak to stwierdza Trendelenburg (*Geschichte der Kategorienlehre*, Berlin 1846) — Arystoteles mieszał z częściami mowy swoje kategorie pojęciowe, których przyjął 10: 1) *οὐσία* (istota czyli substancja), 2) *ποσόν* (ilość), 3) *ποιόν* (cecha), 4) *πρός τι* (stosunek), 5) *πού* (miejsce), 6) *ποτε* (czas), 7) *ποιεῖν* (czynność), 8) *πάσχειν* (bierność), 9) *κεῖσθαι* (położenie względem czegoś), 10) [*πῶς*] *ἔχειν* (stan). Dwie ostatnie kategorie odrzucił potem sam Arystoteles. Odrazu widać, że jego kategorie niezupełnie się zgadzają z dzisiejszemi częściami mowy: pierwsza odpowiada rzeczownikowi, 2-a liczebnikowi, 3-a przymiotnikowi i po części przysłówkowi; 4-a przyimkowi i spójnikowi, 5-a i 6 a przysłówkom, inne czasownikom. Stoicy w III w. od imienia (pospolitego) odróżniają imię własne (*προσηγορία*), a do słowa, łącznika i rodzajnika (z którym też łączą dzisiejszy zaimek), dodają jeszcze przysówek (*μεσότης*). Arystarch z Samotraki (żył między 217 a 143 r. przed Chr.) pierwszy rozróżnił 8 części mowy: imię, czasownik, zaimek, przysówek, imiesłów, rodzajnik, spójnik i przyimek; Rzymianie na miejsce zbytecznego dla nich rodzajnika dodali wykrzyknik, a potem jeszcze dodano przymiotnik zamiast imiesłowu i liczebnik. Cały system, z którego poprzez gramatykę łacińską i dzisiejsza nasza klasyfikacja po-

chodzi, ustalił ostatecznie uczeń Arystarcha, Dionyzjusz z Tracji (Dionysios Thrax) około r. 170—90 przed Chr. Gramatykom greckorzeczymskim chodziło nietyle o teoretyczne podstawy podziału, jak raczej o cele praktyczne i dlatego w ich systemach znajdujemy logiczne usterki.

Do tego jeszcze trzeba dodać jedno: brak a po części niemożność rozsądnego przystosowania systemu, wytworzonego dla mowy greckiej, do potrzeb języków nowożytnych, np. polskiego. I tak greckie lub łacińskie participium jest tylko przymiotnikiem odsłownym, mającym pewne swoiste właściwości fleksyjne i znaczeniowe; ale imiesłów polski, który niegdyś zgadzał się zupełnie z greckim lub łacińskim, z biegiem czasu rozszczępił się na postać odmienną i nieodmienną, czyli podzielił się na odsłowny przymiotnik i przysłówek. A więc i historia języków po części przyczyniała się do dalszej gmatwaniny w odziedziczonym ustroju podziału na części mowy.

Nie dziw tedy, że w nowszych czasach zaczęto z umysłu zajmować się tą sprawą. Jednym z najważniejszych może pracowników na tem polu był nie językoznawca, lecz filozof i psycholog, Wilhelm Wundt, który w pierwszej części swego dzieła, »Völkerpsychologie«, poświęconej językowi, Die Sprache (wydanej w I wydaniu w Lipsku 1900 r.) 2, 6 ustanawia trzy kategorie pojęć: pojęcie przedmiotu, cechy i stanu, stwierdzając, że każdej z tych kategorii odpowiada właściwa część mowy: pierwszej — rzeczownik, drugiej — przymiotnik, trzeciej — czasownik, do czego wreszcie dodaje partykułę, jako wyraz pojęcia stosunku. Rozwadowski (Wortbildung und Wortbedeutung, Heidelberg 1904) wyróżnia też tylko cztery zasadnicze formy językowe: rzeczownik, przymiotnik, czasownik i wyrazy oznaczające stosunek, zaznaczając (str. 92), że te ostatnie nie są pierwotne, lecz wynikły z wyrazów pojęciowych. Zgodnie z tem Łoś (Stosunek zdania do innych typów morfologicznych, Kraków 1909) odróżnia osobową formę czasownika (identyczną ze zdaniem), gdzie pojęcie substancji i cechy zasadniczo występują z równą siłą, dalej rzeczownik, gdzie pojęcie substancji góruje nad pojęciem cechy, i wreszcie przymiotnik, w którym pojęcie cechy góruje nad pojęciem substancji. Dalej tam wyjaśniono, że liczebnik i zaimek zasadniczo nie różnią się od rzeczownika i przymiotnika, że imiesłów jest przymiotnikiem lub przysłówkiem odczasownikowym, że bezokolicznik i supinum są pierwotnie rzeczownikami odsłownymi (nieodmiennymi), że przysłówki są pierwotnie przypadkowymi formami imion lub zaimków, a wreszcie spójniki biorą początek po części w przysłówkach (a więc imionach lub zaimkach), po części w partykułach emfatycznych, będących znów w naj-

bliższym związku z wykrzyknikami, które są też wyrazami, gdyż wyrażają stan uczuciowy człowieka.

Jak widać z tego, te nowe próby podziału materiału językowego na zasadnicze cztery grupy, odpowiadające zasadniczym kategorjom pojęć, opierają się wyłącznie na znaczeniu, na treści pojęciowej lub wyobrażeniowej wyrazów. Dlatego też w ostatnio wymienionej pracy rzeczownikom, przymiotnikom, czasownikom i wreszcie wyrazom, oznaczającym stosunek (pojęciowo-syntaktyczny) przeciwstawiają się właściwe wykrzykniki, jako wyrazy stanów uczuciowych, a nie wyrazy o treści pojęciowej.

I jeszcze jedno: ten nowy system podziału materiału językowego na główne kategorie nie wyklucza możliwości utrzymania dawnego podziału na części mowy, opartego na zasadach innych, tradycyjnych i nawet dającego się łatwo z tym nowym systemem pogodzić i skombinować. To też w ostatnio wydanych pracach z zakresu gramatyki polskiej (Encyklopedia polska, wydawnictwo Akademii Umiejętności t. II i III = Język polski i jego historia) nie zmieniono ani systemu podziału na części mowy, ani terminologii tradycyjnej, a tylko w składni uwzględniono »funkcje« syntaktyczne każdej części mowy: przymiotnikową rzeczownika, liczebnika lub zaimka, rzeczownikową przymiotnika, liczebnika lub zaimka i t. d., innymi słowy, odróżniono np. liczebniki rzeczownikowe lub przymiotnikowe, zaimki rzeczownikowe, przymiotnikowe i liczebnikowe, także przysłówki a nadto przysłówki zaimkowe i t. d.

Podobny system wprowadził też Stanisław Szober do swojej 'koncentrycznej' szkolnej »Gramatyki języka polskiego« (w trzech częściach, Warszawa 1914—16). Część pierwsza zawiera najogólniejsze podstawowe wiadomości o znaczeniu wyrazów jako części mowy, o znaczeniu zdań i ich części, wreszcie opis dźwiękowy języka polskiego; część drugą autor poświęcił odmianie i pozostającym w związku z nią zjawiskom fonetycznym; wreszcie część trzecia zajmuje się składnią. Dotychczasowy podział na części mowy zachowano tylko w nauce o fleksji, a więc mamy tu wyłożoną odmianę rzeczowników (właściwych), przymiotników (właściwych), zaimków, od których jednak autor oddzielił »wyrazy osobowe«, liczebników i czasowników. Natomiast w części pierwszej a po części i w trzeciej p. Szober wprowadził zasadniczą zmianę w terminologii gramatycznej. Mówiąc o znaczeniu wyrazów, jako części mowy, dzieli je na oznaczające przedmioty lub cechy i na takie, które nie oznaczają ani przedmiotów ani cech. Wyrazy oznaczające przedmioty są rzeczownikami; te zaś, które wyrażają cechy, są przymiotnikami lub czasownikami, jeżeli to są cechy przedmiotów, albo też przy-

słówkami, o ile oznaczają cechy cech. Przymiotnik tem się różni od czasownika, że pierwszy oznacza cechę stałą, niezmienną, drugi zaś — cechę przejściową.

Wśród rzeczowników autor odróżnia: 1) właściwe, oznaczające przedmioty dokładnie np. *uczeń, stolarz, deszcz*; 2) zaimkowe, oznaczające przedmioty niedokładnie np. *on, ten, tamten, kto*; 3) liczebnikowe, oznaczające liczby oderwane, np. *pięć, dziesięć*; 4) wyrazy osobowe, oznaczające osoby, które biorą udział w rozmowie: *ja, ty, my, wy*.

W podobny sposób p. Szober dzieli przymiotniki na właściwe np. *jasne (słońce)*, zaimkowe np. *ten (uczeń)* i liczebnikowe np. *pięć (ławek)*. Przysłówki są właściwe np. *pilnie (się uczy)*, zaimkowe np. *tak (się uczy), tam (siedzi)* i liczebnikowe np. *dwakroć (większy)*. Natomiast czasowniki w cz. I nie mają działów, ale w cz. II (str. 23) ukazują się obok nich jako osobna część mowy »słowa posiłkowe« np. *(uczeń) jest (pilny), (słowo) stało się (ciałem)*.

Powyższa klasyfikacja obejmuje według autora wszystkie wyrazy »samodzielne«; obok nich jednak są też wyrazy niesamodzielne, które otrzymują pewne właściwe sobie znaczenie dopiero w połączeniu z tamtymi: są to spójniki, przyimki, wyrazy posiłkowe oraz partykuły, czyli »wyrazki«. To znajdujemy w części I, natomiast w części II zaszła pewna zmiana: »wyrazy posiłkowe« stały się »słowami posiłkowymi« w szeregu części mowy odmiennych. Wykrzykniki autor uznał za nienależące do części mowy, gdyż nie posiadają »żadnej określonej treści; wyrażają tylko ogólnie pewne stany duchowe i uczucia« (cz. III, str. 168).

Nowość ta, wprowadzona do gramatyki szkolnej (wszystko jedno, czy ona ma być podręcznikiem nauczycieli czy uczniów) wzbudza z góry pewne wątpliwości pod względem pedagogicznym: trzeba się obawiać, że uczeń, gdy mu każą inaczej nazywać wyraz przy odmianie, a inaczej przy składni, nie będzie sobie umiał z tem poradzić, kiedy pewien wyraz nazwać np. rzeczownikiem, a kiedy zaimkiem, kiedy przymiotnikiem, a kiedy liczebnikiem i t. d. Nie przyjdzie mu tak łatwo się połąpać, bo np. *pięć* lub *ten* mają być rzeczownikami, ale te same wyrazy w połączeniach syntaktycznych *pięć ławek, ten człowiek* są przymiotnikami! Ale i ze stanowiska czystej teorii nie jest to jasne, bo chyba przypuścić trzeba, że wyrazy *ten, ów* nigdy naprawdę nie są rzeczownikami, taksamo liczebniki z wyjątkiem wyrażań matematycznych: *dwa razy dwa jest cztery*; zawsze bowiem myślimy o jakimś niewymienionym rzeczowniku właściwym, na który owe wyrazy wskazują.

System p. Szobera nie wyczerpuje też całego materiału kla-

syfikatornego: brak tam rzeczowników przymiotnikowych np. *ubogi* (*przyszedeł*), i przymiotników rzeczownikowych jak *zuch* (*chłopiec*); ze względu na praktykę nauczania zapewne dobrze się tak stało, że tego tam niema, bo byłby jeszcze większy zamęt: zależnie od roli bywa rzeczownik przymiotnikiem i odwrotnie; ale dla pełności teorii powinno było i to odróżnianie być zaznaczone wyraźnie w tablicy na str. 17 cz. I i na str. 23 cz. II. Zresztą jeśli nauczyciel po wielu zapewne wysiłkach własnych i uczniów, wdroy młodzież do ścisłego przestrzegania i rozumienia całej tej kazuistyki gramatycznej, to czy trud ten się opłaci? czy umysł uczniów istotnie się przez to rozwinie i nabędzie większej sprawności do ścisłego i jasnego wnioskowania? Nie wiem, ale wątpić o tem wolno.

Z główniejszych ogniów wykładu zaznaczyć trzeba, że niezupełnie szczęśliwie p. Szober określił różnicę między przymiotnikiem a czasownikiem: jeżeli go uczeń zapyta, czy istotnie czasowniki (*kamień*) *leży*, (*ziemia*) *krąży* (*koło słońca*) oznaczają cechy przejściowe, a np. przymiotniki (*woda*) *ciepła*, (*człowiek*) *omdlały* cechy stałe, co mu wtedy odpowie? Chyba lepiej było dać pokój cechom stałym i przejściowym, a powiedzieć raczej o cechach rozważanych w stosunku do terażniejszości (czasowniki) lub bez względu na to (przymiotniki), jeżeli nie chciał tu mówić o różnicy w funkcjach syntaktycznych obu tych części mowy.

Niekonsekwentnym jest p. Szober, odróżniając od rzeczowników »wyrazy osobowe« czyż osoba nie jest »przedmiotem«? Jeżeli wyrazy: *ten*, *ów*, jako oznaczające przedmioty »niedokładnie« są »reczownikami zaimkowemi«. to dlaczego »wyraz osobowy« *ja*, *ty*, nie ma być nazwany »reczownikiem osobowym«? A no, oczywiście dlatego, żeby go mieszano z rzeczownikami: *człowiek*, *pani*, *dziecko*! Tym sposobem *ja*, *ty*, *my*, *wy*, zaliczone do rzeczowników, mimo to nie są rzeczownikami, lecz jakiemiś nieokreślonymi »wyrazami«.

W części I na str. 8—9 wśród przytoczonych przykładów na rzeczowniki znajdujemy też bezokolicznik *czytać*, oczywiście więc p. Szober bezokoliczniki zalicza do rzeczowników; ale nie zostało to uwzględnione w tablicy cz. II, str. 23, gdzie w szeregu części mowy nieodmiennych nie znajdujemy rzeczowników nieodmiennych, czyli bezokoliczników. Zresztą czy naprawdę teraz bezokolicznik pojmujemy jako rzeczownik?

Co się tyczy jeszcze rzeczowników i przymiotników, to użycie nazw: rzeczowniki zaimkowe, przymiotniki zaimkowe, wydaje się rażącym: przecież rzeczowniki i przymiotniki są imionami, a zaimek znaczy 'wyraz zastępujący imię', przeto rzeczownik lub przymiotnik

zaimkowy — to innemi słowy: imię zastępujące imię. Tam, gdzie chodzi o subtelne wniknięcie w istotę rzeczy, nie powinno być miejsca dla nazw, które mogą wywołać bałamuctwo i zamęt w pojęciach.

Zbytecznem było dalej tworzenie nowej części mowy pod nazwą słów posiłkowych; dość było czasowniki podzielić na »właściwe albo samodzielne« i »posiłkowe«, co by w pewnym stopniu odpowiadało podziałowi rzeczowników, przymiotników oraz przysłówków na »właściwe« i »zaimkowe«.

O »wyrazkach« dowiadujemy się od p. Szobera najmniej, bo mówi o nich tylko w § 77 części I, rozpatrując »wyrazki« jednocześnie z »wyrazami (słowami) posiłkowemi«; według autora są to »części mowy niesamodzielne, które w ten lub inny sposób określają bliżej znaczenie wyrazów samodzielnych«. Znalazły się tu w jednym towarzystwie wyrazy zgoła do siebie pod żadnym względem niepodobne, a przytem objaśnienia są niewystarczające; np. o partykułach *no*, że powiedziano, że wzmacniają siłę rozkazu, ale partykuła *no* nieraz właśnie łagodzi siłę rozkazu: *idźno, idź!* a partykuła *że* nietylko w rozkazach się używa: *byłóż tam radości co nie miara!* Te wyrazki, przynajmniej niektóre z nich, będąc wyrazem pewnego zabarwienia uczuciowego wypowiedzianych pojęć, stoją w bezpośrednim związku z wykrzyknikami, o których autor twierdzi, że nie posiadają »żadnej określonej treści«, a mimo to uznaje w nich »równoważniki zdania« (cz. III, str. 168), jakby zdanie mogło nie posiadać żadnej określonej treści. Wyliczając tamże wykrzykniki »właściwe«, miesza autor różne ich rodzaje, więc: 1) wykrzykniki, będące wyrazem nie pojęć, lecz stanu uczuciowego np. *a! ach!* 2) wykrzykniki naśladowcze, wyrażające określone pojęcie, zwłaszcza czynności lub stanu np. *bęc! fajt! paf! chlast!* 3) wykrzykniki, będące istotnemi równoważnikami zdań, jako wyrazy protestu lub przeczenia: *o! ee! och! ii!* i t. p.

Nie dotykam tu drobiazgów, w których niezawsze się też mogę zgodzić z p. Szoberem. Nie dziw, że i te się znajdują, przedmiot to bowiem trudny do ujęcia i wypracowania w najdrobniejszych szczegółach. Na ogół lepiejby było trzymać się zasadniczego podziału znaczeniowego na rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki i wyrazy oznaczające stosunki; odpowiadałoby to czterem zasadniczym kategorjom pojęć: rzeczy, cechy, (stanu lub) czynności i stosunku (prócz Wundta także Biegański, Podręcznik logiki ogólnej, wydanie III Warszawa 1916; str. 17). Inne części mowy sprowadzają się też istotnie do tych czterech kategorji, a chodzi tu głównie o zaimki i liczebniki. Zamiast mówić o rzeczownikach lub

przymiotnikach właściwych, zaimkowych i liczebnikowych, lepiej byłoby liczebniki i zaimki podzielić na rzeczownikowe i przymiotnikowe; byłoby to w zgodzie z logiką, gdy nie jest z nią w zgodzie ani nazwa rzeczowników lub przymiotników zaimkowych, ani określenie liczebnika, jako nazwy rzeczy lub zwłaszcza cechy. Tymczasem w cz. I Gramatyki Szobera na str. 14 § 28 czytamy: »Cechy przedmiotów, które oznaczamy za pomocą przymiotników, mogą być najrozmaitsze... jedne wskazują na barwę przedmiotów... inne znowu oznaczają materiał, z którego przedmiot się składa... są wreszcie przymiotniki, które oznaczają liczbę lub następstwo przedmiotów«. A więc liczba lub następstwo mają być cechą przedmiotu! Cechą nazywamy składową część treści pojęcia; ze zmianą cechy zmienia się częściowo treść pojęcia, tymczasem ze zmianą liczby zmienia się bynajmniej nie treść, lecz ograniczony przez liczbę zakres pojęcia. Mamy tu więc podobne *contradictio in adjecto*, jak w nazwach: rzeczownik zaimkowy, przymiotnik zaimkowy.

O przyimkach trzeba powiedzieć, że pozostają w bliskim stosunku znaczeniowym z przysłówkami. Najczystsza kategorię wyrazów oznaczających stosunek stanowią spójniki, które bardziej aniżeli wykrzykniki stoją poza zdaniem, gdyż nie tworzą ani części zdania, ani części członu zdania. »Wyrazki« są znów, ze względu na swoje znaczenie, bliskie wykrzykników, stanowiących niewątpliwie część mowy, skoro są albo wyrazem pojęć pewnych, albo choćby tylko wyrazem stanów uczuciowych.

Tym sposobem, bez uciekania się do zmian zasadniczych, można i należy, zwłaszcza w gramatykach szkolnych, utrzymać dawny podział na części mowy, byle tylko wprowadzić do niego konieczne modyfikacje częściowe. Pozwolą one przeprowadzić podział materiału językowego na części mowy według zasady znaczeniowej: rzeczownik — nazwa przedmiotu; przymiotnik — nazwa właściwości przedmiotu; liczebnik — nazwa pojęcia liczby lub kolejności liczebnej; czasownik — wyraz czynności lub stanu; przysłówek — wyraz oznaczający cechę czynności lub stanu, albo też cechę właściwości. Każdy z tych działów, obejmuje wyrazy mające ściśle określoną treść i zakres pojęciowy. Są też inne z treścią niezmiernie szczupłą a zakresem olbrzymim: — to zaimki: rzeczownikowe, przymiotnikowe, liczebnikowe i przysłówkowe; niema tylko czasownikowych (co też wskazuje, że przymiotnik a czasownik różnią się zasadniczo, chociaż pozornie są z sobą znaczeniowo zbliżone, jak tego chce p. Szober). Zaimki przysłówkowe mogą też być nazwane przysłówkami zaimkowymi. Przyimki są po części wyrazami, mogącemi mieć znaczenie przysłówków lub wyrazów, oznaczających stosunek,

po części są tylko temi ostatniemi np. *dla*. Spójniki są wyłącznie wyrazem stosunku. Wyrazy oznaczające stosunek stoją zupełnie osobno względem wszystkich innych wyrazów, mających (obfitą lub szczupłą) treść pojęciową. Wykrzykniki są też częściami mowy, wyrażają jednakże zasadniczo zawsze stan uczuciowy osoby mówiącej — z tem przecież może się wiązać pewna treść pojęciowa czy to określona sama przez się (w wykrzyknikach naśladowczych), czy też określona przez sytuację (w wykrzyknikach, będących równoważnikiem zdania).

J. Łoś.

Do dziennikarzy polskich.

W chwili, kiedy podejmujemy wydawnictwo »Języka Polskiego« w wolnej już i niezawisłej Ojczyźnie, zwracamy się do tych z pośród Polaków, którzy najczęściej, bo codziennie, komunikują się pisanem słowem polskiem z najszerszą, bo miljonową rzeszą współziomków.

Zwracamy się w imieniu językoznawców i profesorów języka i literatury polskiej z gorącą odezwą i prośbą do dziennikarzy polskich.

Idzie nam o cel wspólny wszystkim Polakom, o zachowanie językowi ojczystemu rodzimego piętna i utrzymanie go na tej wspólnie wywyższonej, jaką w rozwoju swoim osiągnął; idzie o to, ażeby w dalszym rozwoju kierować go drogą zgodną z duchem polskim, i strzec od wpływów obcych z chwilą, kiedy wpływy te przestają korzystać przynosić, a zaczynają wyrządzać szkodę.

Cel ten da się osiągnąć tylko przez wspólną pracę z jednej strony ludzi, którzy poświęcają życie badaniom nad mową polską i nad jej wiecznie żywym związkiem z duszą narodu, z drugiej zaś strony ludzi, którzy najwydatniej i najoczywiściej oddziałują z dnia na dzień na kształtowanie się tej mowy i na powolny rozwój języka literackiego, t. j. pisarzy, przedewszystkiem zaś dziennikarzy polskich. Tylko przez wspólną pracę!

Powiedzmy zaś sobie szczerze, że dotąd pracy takiej nie było ani śladu. Prawda, że położenie było trudne, na wielkiej części ziem polskich nawet niesłychanie trudne, ale i to prawda, że brakło w tej sprawie zarówno inicjatywy, jak zrozumienia nieodbitą konieczności podjęcia trwałego, systematycznego wysiłku nad obroną języka polskiego od tych codziennych, nieznaczących a nieustannych wpływów obcych, które podawały go w zależność od myśli obcej — i gorzej niż obcej, bo wrogiej — wyrażanej w językach nieprzyjaciół.

Zawiniliśmy obustronnie. Uczeni przez to, że zamykali się w kole badań zawodowych i rzadko podejmowali próby zetknięcia się z szerszymi warstwami, nigdy zaś nie podjęli próby systematycznej pracy nad prostowaniem poczucia językowego, które byle numer codziennej gazety z toru zbijał. Dziennikarze zaś przez to, że w zamęcie roboty pospiesznej i w zgiełku biur redakcyjnych, gdzie — przyznajemy — o skupienie uwagi trudno, nadawali pracy swojej formę bylejaką i zapełniając numer nawałem wiadomości, czerpanych w ogromnej mierze ze źródeł niemieckich (i rosyjskich), zadawali się najczęściej mechanicznym podsuwaniem wyrazów polskich w miejsce obcych i kazili mowę polską codziennie przez to, iż mało dbali o swojskość wyrażań, o tok myśli i budowę zdania.

A nie jest to rzecz drobna — przeciwnie: najważniejsza.

Źle jest już przejmować wyraz obcy tam, gdzie własny istnieje, albo łatwo go stworzyć; źle, bo świadczy o lenistwie umysłowym (obok chwalebego zaciekawienia rzeczą nową), o wygodniostwie, podatności na wpływ obcy i rzucaniu z lekkim sercem starego dziedzictwa. Wady to nie największe, ale dość powszechne u nas, i stąd w języku polskim taka moc wyrazów pożyczonych. Ale ostatecznie pochodzenie obce idzie w niepamięć, wyraz się uciera, przyjmuje, nabiera w wymowie przynajmniej zewnętrznych oznak polskości, a jeżeli i brak mu w języku skojarzeń genetycznych, to staje przez to w szeregu licznych wyrazów rodzimych, które skojarzenie to utraciły w drodze naturalnej i, przybrawszy znamiona prostych znaków czy symbolów, trwają jeszcze w życiu czas długi, ażeby w końcu (tak zwykle bywa), ustąpić miejsca wyrazom świeżo utworzonym i bardziej zrozumiałym, t. j. skojarzonym z grupą innych, etymologicznie pokrewnych. Więc samo przejmowanie wyrazów obcych na pojęcia nowe, albo względnie nowe, chociaż jest często zbędne, a więc złe, nie jest przecie jeszcze złem najgorszem. Nie myślimy też odgrywać roli purystów, którzy krzyczą na alarm, kiedy zamiast: samochód, posłyszają: automobil, i radziby rugować z języka każdego przybysza, trącającego im zanadto Wschodem lub Zachodem.

Ale jest zło gorsze, o wiele głębiej sięgające, z pomocą gazet co pół dnia szerzone i utrwalane. Jest to nieustanne, za pośrednictwem dzienników i wszelakich pism zawodowych zaszczerpianie na gruncie polskim obcych sposobów myślenia i obcego patrzenia na świat. Dzieje się to przy pomocy mechanicznie, t. j. dosłownie, tłumaczonych, nieraz poprostu bezmyślnie kalkowanych, obcych terminów technicznych i wyrażań, zwrotów, przysłów i formułek myślowych, szyku wyrazów, budowy i łączenia zdań, całego toku my-

śli; słowem: przy pomocy mechanicznego a niewolniczego transponowania na polskie wyobrażeń — jednostkowych, złożonych i zbiorowych — ujętych i oddanych w sposób niepolSKI. Jeżeli zaś w języku wszystko, od najlżejszego odcienia dźwiękowego aż do sposobu wyrażania najbardziej złożonych myśli, stanowi o jego odrębnej indywidualności, jednocześnie będąc wpływem i odbiciem bujnej i skomplikowanej indywidualności narodowej, to przede wszystkim stanowi o niej sposób, w jaki ujmujemy i łączymy wyobrażenia, t. j. ten przyrodzony tok myśli, w którym przebija się cała zawartość duszy z jej odrębnym, indywidualnym, narodowym poglądem na świat i nieodłącznie z nim skojarzonym swoistym tłem uczuciowym, t. j. psychicznym nastrojem narodu. Tu leży jądro indywidualności naszej. Same wyrazy, brane z osobna, są tylko formą, która z czasem może się nawet zatrzeć, niby zużyta w obiegu moneta, zawsze zaś i już w chwili powstania swego jest — jako forma — czemś martwym, choć powołaniem do bytu żywą potrzebą. Ale w sposobie, w jaki tę formę kształtujemy, w jaki ją układamy i rzeźbimy, przejawia się wiecznie żywa treść duszy naszej, odrębna, swoista i własna. I tutaj wszelkie niedbalstwo jest naganne. Tutaj poddawanie się wpływom obcym, płynącym z dna wrogiej nam umysłowości, jest grzechem przeciw swojskości języka polskiego i przeciw rodzimoci swoistej duszy polskiej. Tutaj każde ustępstwo jest równoznaczne z dobrowolnym włączaniem myśli polskiej w gotowe schematy, duchowi jej obce. Tutaj uległość jest oddawaniem się w niewolę potężnej a wrogiej kulturze. Ochrona języka polskiego jest ochroną nie tylko największego ze skarbów naszych, ale wręcz indywidualności naszej narodowej. Łatwo o przykłady, że narody, które pozwoliły na takie zmiany w charakterze języka ojców swoich, o jakich mówimy, uległy jednocześnie wywłaszczeniu z rodzimych cech ducha narodowego, a tych cech nie wraca przywrócenie praw politycznych.

Raz więc jeszcze, strzeżmy swoistej czystości języka polskiego. Niechaj każdy numer pisma codziennego składany będzie z myślą o tem, że go czytać będą rzesze wielotysięczne, a coraz liczniejsze, które język swój kształtują pod wpływem słowa drukowanego, rzesze, dla których gazeta jest najczęściej jedyną krynicą i wzorem ukształconej polszczyzny.

Lecz aby móc pisać z tą myślą, trzeba wprzód uczynić zadość trzem warunkom:

Po pierwsze, trzeba znać doskonale język obcy, w którym samemu czerpie się wiadomości ze świata; w praktyce jest to niestety, jak na dzisiaj (przynajmniej w byłych zaborach austriackim i pr-

skim, gdzie polszczyzna dziennikarska osobliwie niedomagana), język niemiecki, często przytem — w Galicji — bardzo lichy znany;

po wtóre trzeba jeszcze o wiele doskonalej znać język własny, posiadać silne poczucie językowe, oparte na rozległym odczytaniu w literaturze nie tylko nowszej, ale i dawniejszej, z różnych okresów, oraz na jasnej świadomości obecnych skojarzeń językowych.

Trzeba — po trzecie — posiadać nadto pewien zasób elementarnych wiadomości o istocie i rozwoju języka, tyle, ile ich można nabrać bez studjów zawodowych, ale przy odrobinie dobrej woli i pilności.

O ile idzie o pogłębienie znajomości języków obcych i odczytanie w literaturze polskiej, interwencja uczonych jest zbyt rzadka. Ale tam, gdzie wchodzi w grę polskość lub obcość faktów językowych, gdzie trzeba pogłębić zrozumienie istoty tej polskości i wzmocnić poczucie językowe przez uświadomienie sobie i ustalenie skojarzeń mniej naocznych — tam się bez czynnej pomocy znawców języka polskiego żadną miarą nie obejdzie.

I dlatego właśnie zwracamy się z wezwaniem i prośbą do towarzystw i zreszeń dziennikarskich wszelkiego rodzaju na ziemiach polskich;

rozważcie myśli, które powyżej do rozważenia podajemy;

przemyślcie sens ich szerzej i głębiej, niżli w zdaniach kilkunastu pozornie jest zawarty;

zastanówcie się w sumieniu, że zaiste nie z lekkim sercem stwierdzamy fakt, iż najwydatniej szerzą skażenie mowy polskiej pisma polskie;

uznajcie, że reforma jest ze stanowiska ogólnonarodowego palącą potrzebą;

wybierzcie delegatów czy komisje dla porozumienia się w tym, przedmiocie z przedstawicielami grona językoznawców i polonistów polskich;

poddajcie rozważce, w jaki sposób najlepiej osiągnąć w praktyce cel, o którym mowa; czy nie przez stworzenie odpowiednich kursów przy uniwersytetach, z tem, ażeby przejść je musiał każdy, kto się zawodowo dziennikarstwu poświęca? — wszak na Zachodzie istnieją specjalne kursy dla dziennikarzy; słowem

przynieście swoje plany i pomysły, z którymi my porównamy własne, nadewszystko jednak przynieście przeświadczenie o powadze sprawy i głębokie przekonanie, że nie może się ona skończyć na osądzeniu teoretycznym, ale że obowiązkiem — tak, obowiązkiem — nas Polaków jest niedomagania dotychczasowe na zawsze usunąć.

My zaś przystępujemy do tej wspólnej pracy w poczuciu obowiązku a z równym udziałem, boć uczyć jest rzeczą niemniej trudną, jak uczyć się.

I czekamy odpowiedzi, nie mając wątpliwości, jak wypadnie, bo nie możemy wątpić ani chwili, że dziś, kiedy język polski po latach stu z górą odzyskał utęsknioną pełnię praw swoich, niemasz Polaka, któryby całej wagi niniejszego wezwania nie pojął — i sercem nie odczuł.

Z dyletantyzmu językowego.

W numerze 3 (z 14 XII 1918) nowo wskrzeszonego satyrycznego »Djabła« znajduje się następujące »ogłoszenie«: »Ex-c. k. Dyrekcja ex-c. k. kolei państwowych zawiadamia, że z d. 1 stycznia 1919 stacja *Osielec*, między Makowem a Jordanowem, zmieni swą nazwę na *Thugutowo*«.

Oczywiście dowcipny »lingwista« łączy *Osielec* z *osłem*, gdy w rzeczywistości nazwa ta pochodzi z dawniejszej: *Osiedlec*, a powstała pod wpływem dalszych przypadków: *Osiedlca*, *w Osiedlcu*, *za Osiedlcem...*, w których zbyt skomplikowana grupa spółgłosek *-dlc-* uprościła się w wymowie na *-lc-*, poczem do *Osielca* dorobiono mianownik *Osielec*. Uproszczenie takie do dziś pospolite jest w żywej mowie: trzeba tylko trochę bezstronnej obserwacji, aby zauważyć u innych, a może i u siebie, że nazwa miasta do niedawna gubernjalnego, bardzo często brzmi naprawdę *Sielce*. Tylko że gdy przy znaczniejszem mieście utrzymała się wciąż powtarzana na papierze postać wzrokowa *Siedlce*, to liczne w Polsce wsi tejsze nazwy zapisywano tak, jak je wymawiano. Stąd w »Słowniku geograficznym« spotykamy z różnych stron Polski liczbę mnogą *Sielce* lub pojedynczą *Sielec* (na dalszem Mazowszu też *Sielce*, znów pod wpływem form innych przypadków, nie mających *e* między *l* a *c*), zupełnie pomieszane z *Siedlcami* i *Siedlcem*, nieraz w obu postaciach dla tej samej miejscowości. Od *osła* natomiast z ruchomem *e* (*o* w formie *osioł* jest późniejsze), nazwa o tem zakończeniu musiałaby brzmieć **Oślec*.

A więc wymieniony dowcip jest dowodem nieuctwa? więc może raczej w nazwisku jego autora należałoby szukać nowej nazwy dla *Osielca*? Bynajmniej. Bo — nie mówiąc już o żartobliwym tonie tego pomysłu — inna rzecz prawdziwa historyczna etymologia, której nawet wykształcony ogół nie jest obowiązany znać, a inna

dzisiejsze poczucie etymologiczne. Otóż, że to dzisiejsze poczucie mimowoli łączy *Osielec* z *osłem*, to fakt, który nadto łatwo wytłumaczyć. Bo skoro mówimy dziś *osiolatek* (lub *osiatek*) a nie **osiatek* i, dajmy na to, *orzełek* a nie **orzek*, mimo istnienia jeszcze form *osła*, *orła* bez *e*, to nie może też dziwić niezgoda między formami *osła* (bez *e*) a *Osielec* (z *e*). Istnienie *e* w *Osielcu* mogłoby być uzasadnionem także według tej, chociaż pozytywnie fałszywej, etymologii, podobnie jak jest ono uzasadnionem n. p. w przezwisku *Łokietek*. Jak *Łokietek* powstał na miejscu pierwotnego mianownika *Łoktek*¹⁾, (por. *łokieć*—*łokcia*) pod wpływem dalszych przypadków: *Łokietka*, *Łokietkowi*..., tak samo jakiś nieistniejący zresztą, **Osiec* przemieniłby się w *Osielec* pod wpływem form *Osielca*, w *Osielcu*. I jeszcze jedno mogło sprzyjać takiemu mimowolnemu rozumowaniu: oto *Kozielec*, nazwa miasteczka i dwóch wsi, pochodząca napewno od *kozła*, więc od wyrazu, którego warunki głosowe: *koziół* obok *kozieł*, są zupełnie takie same jak u *osła*.

Ale zapyta się kto jeszcze: jeżeli *Kozielec* jest w związku z *kozłem*, a *Osielec* może być w związku z *osłem*, to skąd wiemy, że w nim nie jest? Otóż w takich razach rozstrzyga przedewszystkiem dawna, z dokumentów wzięta nazwa miejscowości. O przeszłości *Osielca* wiemy ze »Słownika geograficznego« tylko tyle, że parafja była dawniej w Makowie i że zachowały się metryki od r. 1785: ale w »Źródłach dziejowych« Pawińskiego XIV 2, 48 znajdujemy pod r. 1581 *Osiedlecz* t. j. *Osiedlec*, i to rozstrzyga. Gdybyśmy jednak nie mieli nawet bezpośredniej wiadomości historycznej, to mamy inne, zupełnie wystarczające argumenty pośrednie, mianowicie: 1) gdy od *kozła* pochodzą w Polsce niezliczone osady o nazwach: *Kozielec*, *Kozielsk*, *Kozieł*, *Kozielek*, *Koziołki*, *Koźle*, *Kozłów*, *Kozłówka*..., to od *osła* niema ich wcale; bo gdyby nawet *Osielsk* (pod Bydgoszczą) nie pochodził od **Osiedlska*, a to ze względu na formę *Oselzch* bez *d* już w r. 1065, to i tak ze względu na *Na-sielsk* (pod Pułtuskim), znany z tegoż dokumentu (p. Kodeks dyplomatyczny wielkopolski, nr. 3) jako *Nasilzco*, trzeba by go pojąć jako *O-siel sk*. 2) *Osielec* jako *Osiedlec* jest w związku z niezliczonymi znów w Polsce *Sie(d)lcam*, jego zaś *o-* zupełnie nie dziwi, bo na Podkarpaciu pospolity jest wyraz *osiedle* »mała osada«, złożona z kilku, a nawet z jednego gospodarstwa.

Tak się przedstawiają losy tej nazwy: zmiany formalne (gło-

¹⁾ do którego znów Kraszewski w swej powieści historycznej »Kraków za Łoktka« mylnie urabiał dalsze przypadki.

sowe i deklinacyjne) pociągnęły za sobą u ludzi nie zajmujących się językoznawstwem wykołajenie znaczeniowe, mianowicie fałszywą etymologję, której nie można się dziwić.

Zupełnie inne wrażenie oczywiście wywołuje dyletantyzm, choćby przygodny, książek poważnych, a zwłaszcza książek mających uczyć. Oto »Pogadanki przyrodniczo-krajoznawcze, opracowane metodycznie dla szkół początkowych« (Kraków 1917) przez dr. Młodowską i dwie inne autorki, których nazwisk tu nie wymieniam, bo to, o co mi tu idzie, nie z pod ich pióra wyszło. W dziale krajoznawczym tego podręcznika dwa razy jest mowa o języku ludowym: przy Śląsku i przy Mazowszu.

Na str. 274—5 mamy 7-wierszowy tekst śląski, rozpoczynający się od zdania: *Buu jeden ślachcic w jednej wsi i miau jednego wogrodnika, co mu nie chciau robić...*, a dalej mający formy: *wognia, roz* obok *widziau* i t. p. Cóż to za gwara śląska z *wogniem* i *wogrodnikiem*? przecie tak mówi tylko część Kaszubów i wielkopolskich Krajniaków, ale nigdy Ślązacy! Albo z tak niekonsekwentnem ścieśnianiem (»pochylaniem«) *a* w *o*? przecie taka niekonsekwencja, pospolita w okolicach o silnym wpływie dialektu kulturalnego, może najmniej typowa jest dla Śląska! A że *bandzie* i *smandziuo się* wcale nie są specjalnie śląskie, przeto do charakterystyki gwary może tu służyć od biedy tylko *zaźdrzeć*, no i *urfajgi* »policzki« (z niem. Ohrfeige). Ale dziecko ma odpowiedzieć na pytanie: »Czem się różni gwara śląska od języka polskiego?« (Pomijam już to przeciwstawienie »gwary śląskiej« — »językowi polskiemu«). — Co prawda, autorka częściowo tu tylko jest winna, ustęp ten bowiem wzięła literalnie z »Dziejów języka polskiego« Brücknera, jak stwierdziłem, ze strony 175, dokąd znów dostał się on, bez zacytowania źródła, z »Powieści ludu polskiego na Śląsku«, Lucjana Malinowskiego, cz. II, str. 233. Tylko że u Malinowskiego mamy: *Buü jedén ślachcic w jednéj wsi a miäu jedného wogrodnika...*, a dalej konsekwentnie też *wognia* i t. p., czyli że to te rozpowszechnione »Dzieje języka polskiego« tak pojmują popularyzację. O nich tu nie mówię, twierdząc jednak, że autorka niezupełnie jest bez winy. Bo pytam, czy do napisania książki szkolnej, choćby dla szkół ludowych, wystarczy czerpać wiedzę z dzieł popularnych?

Zresztą nawet do popularnych się nie zagląda, jak świadczy str. 317, gdzie czytamy: »Gwara mazurska również pięknoscią ustępuje innym gwarom Polski. Zamiast *sz, cz, rz* wymawia Mazur *s, c, z*, a *sukoł* zamiast *szukał, cekoł, zucił*«. Pomijam tu już samo po-

wierzchowne ujęcie zagadnienia, ale pominąć nie mogę tego braku najelementarniejszych wiadomości z przedmiotu, o którym się pisze: więc wymowa *s c* zamiast *sz cz* znamionuje gwara mazowiecką w przeciwieństwie do innych? a zwłaszcza więc lud mazurski mówi *z* nie zamiast *ż*, ale zamiast *rz*, a więc *zucił*? Nie, taką gwara można spotkać tylko w partackim udawaniu mowy ludowej przez niektórych autorów, ale nie w rzeczywistości. A przecież, jeśli się tego *a b c* narzeczy polskich nie zna z życia, to można się było poinformować, choćby w »Gramatyce« Steina-Zawilińskiego na str. 304.

Powie kto może, że nie powinno się tak ostro wytykać rzeczy wypowiedzianych przygodnie? Jestem innego zdania: nawet we własnym interesie nie powinno się pisać lekkomyślnie o rzeczach, na których się ktoś nie rozumie; bo jeżeli w książce o rozmaitej treści znajdę w jednym zakresie rozmaite błędy, to czy mogę mieć zaufanie do innych działów? A z punktu widzenia ogólnego rzecz ta nabiera szczególnej wagi teraz, kiedy ze wszystkich stron rozlegają się słuszne wołania o podręcznik do nauki krajoznawstwa. Nauka ta — to zbiór wiadomości z różnych zakresów, prawda; ale z faktu, że nie można być specjalistą od wszystkiego, nie wynika bynajmniej, by o niektórych rzeczach pisać bez najmniejszego przygotowania. Grozi to zaś zwłaszcza niezbędnemu w krajoznawstwie działowi językowemu. Wiadomo, do pisania książek krajoznawczych wezmą się geografowie, przyrodnicy, historycy..., tylko nie językoznawcy. Niechże więc piszący przynajmniej wiedzą, że w »Języku Polskim« spotkają się zawsze z krytyką swego na tem polu dyletantyzmu.

K. Nitsch.

W sprawie słownika wojennej gwary żołnierzy polskich.

Odradzająca się do nowego życia wojskowość polska staje wobec wielkich trudności utworzenia i ujednoczenia zawodowej terminologii militarnej. Nazwy wprowadzane na własną rękę przez różne formacje organizujących się podczas wojny wojsk polskich wykazują nieuniknioną rozbieżność, grzeszą niedokładnością i dyletantyzmem, tłumaczącym się łatwo na tle doraźnej potrzeby ukucia wyrazu i gorączkowego tempa lingwistycznej pracy wśród huku dział. Noszą one poza tem zbyt liczne ślady wpływu cudzoziemskich

terminów, przejętych — nieraz bezwiednie — od obcej armji, z którą polskie jednostki bojowe musiały utrzymywać ciągłe stosunki. Nadwyplenieniem tych błędów i popchnięciem sprawy zawodowego wojskowego słownika na właściwe tory pracuje gorliwie od dłuższego czasu osobny wydział dawnej Komisji Wojskowej, dzisiejszego Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie. Referenci tej kwestji przystąpili do dzieła z pełnym poczuciem jego trudności i z chwalebłą troską o harmonizowanie nowotworzonych terminów z terminami uświęconymi tradycją wojsk Polski przedrozbiorowej i oddziałów powstańczych ubiegłego stulecia¹⁾.

Chwilowo nie chodzi nam jednak o plan słownika fachowej terminologii militarnej, lecz o zebranie materiałów wojennej gwary, którą żołnierz polski, tak jak żołnierz każdej innej armji, wytworzył podczas wojny w ciągu wyodrębnionego od reszty społeczeństwa pobytu w kole towarzyszy broni. Powstał w ten sposób oryginalny sposób wysławiania się żołnierzy, cały system wyrażeń na oznaczenie pojęć pozostających w ścisłym związku ze służbą wojenną. Są to często żartobliwe nowotwory, nieraz bardzo śmiałe przenośnie, niemal zawsze jędrne, bardzo dobitne, do wyobraźni przemawiające wyrazy.

Gwara ta, różna zależnie od wpływów otoczenia i intelektualnego poziomu uczestników różnych polskich formacyj bojowych, ulegała i ulega ustawicznym zmianom. Zarzuca się zbyt nieraz ochoczo dawniej używane terminy, nowe z zapałem wprowadza, zasłyszane gdzieś przypadkiem dowcipne określenie czemprowadziej przyswaja, przekształcając w ten sposób ciągle słownik żołnierskiego języka. Najwyższy już czas ratować te twory wojennego okresu od zapomnienia, zebrać je i oddać do dyspozycji językoznawcom polskim. Gwara ta da nam przecież doskonały obraz schwytanej na gorącym uczynku lingwistycznej twórczości, pozwoli nam przy tem wglądać w zasadnicze problemy psychologii języka. U innych narodów zwrócono już na ten objaw wojennego czasu bystrą uwagę, poświęcając mu niejedną starannie przemyślaną książkę²⁾.

¹⁾ Por. artykuł St. Malinowskiego, p. t. »Referat słownictwa wojskowego w Komisji Wojskowej« (»Bellona«, październik 1918).

²⁾ Zagraniczną literaturą naszego przedmiotu zajmę się na innem miejscu. Narazie wskazuję na najważniejsze zdaniem mojem publikacje. Studium L. Sainéana, *L'argot des tranchées* (Paris 1915) podaje materiał zbyt szczupły i zapuszcza się w fantastyczne miejscami etymologizowanie. Doskonale uwagi na temat gwary żołnierskiej pomieścili M. Cohen i R. Gauthiot w »Bulletin de la Société linguistique« (1916 str. 69—82). Najobfitszy zasób wyrazów, uzyskany

Chwila obecna, moment powrotu do ojczyzny wielu w dalekich stronach świata zorganizowanych oddziałów wojsk polskich, daje najlepszą sposobność zebrania materiałów oświetlających gwara, raczej gwary polskiego żołnierza. Komisja Języka polskiego przystępuje tedy do zgromadzenia i krytycznego opracowania języka polskich organizacyj wojennych. Aby zadaniu podołać, zwraca się do wojskowych polskich z prośbą o nadsyłanie możliwie dokładnych spisów wyrazów, stanowiących gwara właściwą ich oddziałom. Powinny to być wykazy zupełne, a więc nie oczyszczane bynajmniej ze słów o charakterze trywjalnym i od zapożyczeń z obcych języków, których oczywiście znajdzie się bardzo wiele.

Trudno podać tutaj wyczerpujący kwestjonariusz. Wymienię więc tylko zasadnicze grupy pojęć, które w języku żołnierzy uyskały czasu wojny nowoutworzone nazwania. Więc:

Rodzaje broni. Nazwy żołnierza wogóle, piechura, kawalerzysty, artylerzysty, żołnierza z trenu, z oddziałów technicznych lub sanitarych, z muzyki, kuchni polowej, z warsztatów i t. d.

Stopnie wojskowe. Nazwy na oznaczenie zwykłego i starszego żołnierza, sierżanta, oficera różnych rang, oficerów ze sztabu, lekarza, kapelana i t. d.

Uzbrojenie. Nazwy munduru i jego części, tornistra (plecaka), karabinu i jego części, karabinu maszynowego, armaty, szabli, naboju, aeroplanu, telefonu i t. d.

Służba. Nazwy na oznaczenie musztry, ćwiczeń karabinem, maszerowania, odpoczynku, przebywania w okopach, poza frontem lub w szpitalu. Nazwy żołdu, wynagrodzenia za jedzenie i t. d. Nazwy oznaczające żołnierza, który unika frontu, kryje się, ucieka przed wrogiem i t. d.

Nieprzyjaciel. Nazwy nieprzyjaciela. Wyzwiska pod adresem wrogów i t. zw. sprzymierzonych armij.

Życie codzienne. Nazwy kuchni polowej, różnych potraw,

drogą ankiety, zestawia i naogół trafnie objaśnia A. Dauzat, w książce p. t. *L'argot de la guerre* (Paris 1918). — W Niemczech powstał specjalny wydział badania języka żołnierzy w łonie »Związku niemieckich ludoznawczych stowarzyszeń« z siedzibą w Frankfurcie nad Menem. Istnieje szereg mniej lub bardziej starannie przeprowadzonych opracowań. Wymieniam kilka zasadniczych: Th. Imme, *Die deutsche Soldatensprache der Gegenwart* (Dortmund 1917); O. Mauser, *Deutsche Soldatensprache* (Strassburg 1917); G. Stucke, *Deutsches Heer und deutsche Sprache*. Cenny jest zbiór wydany nakładem czasopisma »Lustige Blätter«. — W Szwajcarji gromadzi materiały »Towarzystwo ludoznawcze« z siedzibą w Bazylei. Z pośród opracowań wybija się książka H. Bächtolda, *Aus Leben und Sprache des Schweizer Soldaten* (Bazylea 1916).

konserw, napoi, gatunków tytoniu i papierosów, naczyń i przyrządów używanych w okopach lub w koszarach i t. d.

Zwierzęta. Nazwy koni, psów towarzyszących żołnierzom.

Ludność cywilna. Wyzwiska pod jej adresem.

Pożądane są dalej wykazy żartobliwych napisów na różnych częściach okopów lub zabudowań poza okopami. Bardzo cennem będzie podanie różnych sposobów t. zw. tajnego języka, o ile był używany czy to w ściślejszem gronie kilku żołnierzy czy też może w całym oddziale. Niezmierną wagę będą miały objaśnienia (słowem i rysunkiem) zapisanych wyrazów, ustalenie — o ile to możliwe — daty ich powstania, przytoczenie wreszcie charakterystycznych wydarzeń, które ewentualnie wpłynęły na utworzenie terminów.

Odpowiedź na podany tu w najogólniejszym zarysie kwestjonariusz należy nadsyłać pod adresem Komisji Języka polskiego Akademii Umiejętności (Kraków, ul. Sławkowska, l. 17). Dr. Marjan Linde złożył w roku 1916 w tejże Komisji pewną poważniejszą kwotę, przeznaczoną na nagrodę dla autora najlepszego, t. zn. najstaranniej ułożonego słownika gwary jednego z oddziałów wojsk polskich.

St. Wędkiewicz.

Gramatyki równoległe.

Myśl osiągnięcia *wspólnych podstaw w nauce gramatyki różnych języków w szkołach średnich* musiała się sama przez się od dawna narzucać, zwłaszcza odkąd gramatyka porównawcza języków indoeuropejskich, choćby w skromnym zakresie, zyskała prawo obywatelstwa na uniwersytetach europejskich. To też plany i instrukcje niemieckie: pruskie, bawarskie... i austriackie podkreślały zawsze *konieczność równoległego traktowania* gramatyki różnych języków czy to niemieckiej i łacińskiej lub angielskiej, czy to zwłaszcza łacińskiej i greckiej, łacińskiej i francuskiej.

Tak miało być w Niemczech i w Austrii, a więc i w Galicji, ale było inaczej. Mimo wspólnego pochodzenia języków indoeuropejskich, których uczono w naszej szkole średniej, różnice między nimi stały się wskutek długiego rozwoju tak wielkie, że nie wierzone poprostu w możliwość przeprowadzenia równoległych gramatyk. Pobieżny rzut oka zda się wystarczał: fonetyka, rodzaj rzeczownika, ewentualnie rodzajnik, deklinacja, konjugacja, strony, czasy, tryby, użycie spójników, przyimków, przymiotników... następczały tyle rozbieżności a przez to trudności, że bano się nawet

próby zaprowadzenia porządku, i panowała w szkole *gramatyczna anarchja*. Jej grzechy były aż nadto widoczne. Albo uczeń musiał mieć w głowie osobną szufladkę dla każdej z tych różnych gramatyk, albo tracić energję na tłumaczenie formuł jednej gramatyki na formuły drugiej. Zaprowadzenie porządku w umyśle przechodziło siły ucznia, a często i nauczyciela.

Trzeba zatem raz wreszcze wynaleźć *wspólny punkt widzenia*, z którego mógłby nauczyciel i uczeń objąć wzrokiem różne języki, jakich się uczy w szkołach średnich; trzeba pokazać gramatyczną budowę przy pomocy takiego systemu, któryby nie obrażał żadnego z tych języków. W każdym razie wszędzie powinno się używać tej samej podstawowej klasyfikacji i terminologii dla dźwięków, części mowy, postaci morfologicznych, reguł, rodzaju... Przykłady należy przedstawiać, o ile to możliwe, w tej samej formie. W składni zadaje się pytanie: jak taki a taki język wyraża takie a takie myśli, a do jakiej granicy język nie rozróżnia linii granicznych między znaczeniami. Chodzi o *uproszczenie i ułatwienie gramatyki dla ucznia*.

Zadanie to przed przeszło trzydziestu laty wykonano już w Anglii, na co zwrócił mi uwagę dyr. Zawiliński. Dzięki jego uprzejmości przejrzałem kilka tomików gramatyk równoległych i na tej podstawie podaję te kilka uwag.

Angielska serja gramatyk równoległych, obejmująca gramatykę angielską, grecką, łacińską, francuską, niemiecką, włoską..., zyskała pochlebne oceny w Anglii i zagranicą i weszła w całości lub częściowo do różnych pierwszorzędnych zakładów naukowych.

Wydawcy (Sonnenschein et Co, Paternoster Square, London; Macmillan et Co, New York) i cały szereg współpracowników wykonali w tej serji zlecenie *Towarzystwa gramatycznego* w Birmingham. Szkic analizy i składni podstawowej angielskiej jest wynikiem prac tego towarzystwa z r. 1885—1888.

Wogóle starano się *uproszczyć i ułatwić* system i wykazać, jak języki *klasyczne ułatwiają poznanie żyjących i odwrotnie*; $\frac{2}{3}$ pracy w nauce języków można zaoszczędzić równoległym traktowaniem gramatyki. To wszystko osiągnięto *bez rewolucji w terminologii*. *Definicje i reguły* opierają się wszędzie na poprzedzających *przykładach*, z których można je wyprowadzić *indukcją*. Zwracam uwagę na *jasność i wyrazistość głównych linii, krótkość i dokładność reguł*. Rzeczy drugorzędne znaczenia podporządkowano, a to, co nie ma żadnego znaczenia dla celów szkolnych, usunięto. Linja na marginesie zaznacza, co trzeba brać na pierwszym stopniu nauki, inne stopnie wyróżniono różnym drukiem. Równocześnie nie oddziela

się szczegółów od głównego tekstu, do którego te organicznie należą. Z *językoznawstwa porównawczego* korzystano tylko o tyle, o ile to jest wskazane praktycznymi względami; gdzie tego niema, reguły wyrażono tak, aby uniknąć uczenia błędów naukowych. Budowano na pewnej podstawie *faktów*, a unikano teoryj, które muszą ulec rewizji, gdy nauka pójdzie naprzód. Korzyści tej nowej równoległej metody widoczne są we fleksji, ale przede wszystkim w *składni*. Tu każda rzecz zależy od *punktu widzenia*, jaki ktoś stosuje, i jeśli zasadnicze myśli mają być silnie ugruntowane, jest rzeczą najważniejszą nie zmieniać punktu widzenia. W tej serii wspólny punkt widzenia zdobywa się właśnie przez oparcie składni na analizie zdania, które nie zależy od formy językowej, innymi słowy przez oparcie składni przede wszystkim na *treści* tego, co się mówi, czyli na *znaczeniu*. Ta metoda przedstawia w silnych zarysach nie tylko podobieństwa, lecz również różnice między językami. Postępuje się od rzeczy znanych (tego, co chcę powiedzieć) do nieznanich (tego, jak mam powiedzieć).

Serja angielskich gramatyk równoległych stanowi organiczną *całość*, a nie jest szeregiem oddzielnych gramatyk, nieskoordynowanych i nieusystematyzowanych, jak to jest w naszych szkołach. Tą metodą można dopiero wpoić w uczniów przekonanie, czym gramatyka jest w rzeczywistości: *zebraniem obserwowanych faktów*, a nie systemem przepisów abstrakcyjnych; zwraca się ich uwagę przede wszystkim na fakty konkretne, a *regułę* przedstawia się jako pomoc dla ich własnych zdolności indukcyjnych. Gramatyka staje się w ten sposób rodzajem *hortus siccus*, zielnika, który zawiera rozklasyfikowane przykłady różnych wyrażen językowych, znalezionych u autorów lub też w dobrej mowie żywej, a odpowiednich do naśladowania.

Charakterystyczne właściwości omawianej serii są:

1. *Jednolita klasyfikacja i terminologia.*

To samo zjawisko gramatyczne klasyfikuje się jednako i ma równą nazwę, gdziekolwiek występuje. Nieco różne zjawiska oznaczono nieco różnymi nazwami, ale nie różnorodnymi. Uczeń, używający tych gramatyk, nie traci więc wątku wskutek niezgodnych gramatycznych punktów widzenia i rozbieżnych formuł tam, gdzie wystarcza jedna formuła. Ponieważ porządek różnych gramatyk jest identyczny, opanowanie jednej zawiera w sobie opanowanie zasad i metod innych gramatyk.

Te ważne rezultaty osiągnięto bez żadnej rewolucji w terminologii. Pokazało się, że istniejący zapas terminów, używany ekonomicznie, wystarcza albo prawie wystarcza.

Składnię oparto na analizie zdań, i zastosowano zasadę *Komenskiego* „*per exempla*“ jako różniącą się od „*per praecepta*“; to znaczy reguły opierają się na uprzednio podanej grupie wybranych przykładów, z których należy je wyciągnąć indukcyjną.

2. *Jednolity cel.*

Ta serja jest przeznaczona do szkół średnich (High Schools) i gimnazjów (Grammar Schools). Każda gramatyka ma zatem wystarczający cel objęcia całego kursu szkolnego. Doświadczenie wykazało ważność zastosowywania pamięci lokalnej, ale ta korzyść ginie, jeśli uczeń przechodzi od książki do książki i z jednego porządku stronicy do innego. Zresztą ta serja ma uzupełniać profesora a nie zastąpić go; objaśnienia i roztrząsania zamknięto dlatego w ciasnych granicach.

3. *Jednolita wielkość i jednolite czcionki.*

Wszystkie gramatyki drukowano trzema typami czcionek, które odpowiadają trzem stopniom nauki. Linja wzdłuż marginesu dodaje jeszcze ważności elementarnej treści. Zwracano przedewszystkiem uwagę na to, aby zawartość stronicy była jak najbardziej wyrazistą (plastyczną = pictorial), ażeby przez to dopomóc pamięci lokalnej.

Przy układaniu gramatyk równoległych dla naszych szkół muszą być wzięte pod uwagę następujące punkty:

- 1) *Układ* (porządek materiału) i *klasyfikacja* zjawisk językowych na podstawie wspólnych zasad logicznych i psychologicznych z uwzględnieniem, szczególnie przy składni, wewnętrznych t. j. treściowych sprawdzianów.
- 2) *Terminologia* (nazwy i definicje pojęć gramatycznych) jednolite, możliwie zredukowane; bez przewrotów.
- 3) *Zakres materiału*:
 - A. z uwzględnieniem różnych języków jak, a) język polski, b) języki klasyczne, c) języki nowsze, żyjące;
 - B. z uwzględnieniem różnych (dwu, trzech, czy czterech) stopni nauczania jak: a) stopień okolicznościowy, b) elementarny, c) systematyczny, ewentualnie d) wyższy, pogłębiany logiką i psychologią (zwłaszcza w języku polskim).
- 4) *Metody* w związku z 3). O ile możności indukcyjna: *per exempla*, *non per praecepta*.
- 5) *Typografia*: różne czcionki na oznaczenie rzeczy różnej wagi lub trudności.
- 6) *Gramatyka języka polskiego* stanowi podstawę i na tej podstawie odbywają się po polsku wszelkie pouczenia gram-

tyczne o językach obcych, nawet na stopniu najwyższym szkoły średniej.

Angielski przykład udowadnia nam praktycznie, że *zadanie* stworzenia gramatyk równoległych jest *możliwe* do przeprowadzenia. Naturalnie nie można wziąć angielskich gramatyk równoległych i poprostu przetłumaczyć je tylko na polskie: przedewszystkiem punktem wyjścia musi być dla nas język polski, a nie angielski. Trzeba budować polskie podręczniki *samodzielnie* na silnej *naukowej i pedagogicznej* podstawie, uwzględniając zarówno prace *uczonych* obcych jak i koniecznie *polskich*, jeśli język polski ma być naprawdę podstawą nauki innych języków. Należałoby, jak tego wielu się domaga, założyć wreszcie w szerokich rozmiarach *Towarzystwo językoznawcze*, najlepiej może w Krakowie, gdzie »Język Polski«, wydawany obecnie przez Akademię Umiejętności i »Poradnik Językowy« dyr. Zawilińskiego mogłyby służyć jako organy tego towarzystwa. *Nasze nauczycielstwo szkół średnich* może i powinno ze swego bogatego doświadczenia pedagogicznego udzielić autorom takich gramatyk mnóstwa cennych uwag. Akcja cała jest już na najlepszej drodze, ponieważ w tym celu odbył się *zjazd* gramatyków polskich w połowie grudnia 1918 w Krakowie ze współudziałem fachowych sił, zarówno uniwersyteckich jak szkół średnich, a zwłaszcza autorów dwu najlepszych gramatyk polskich: Szobera, Steina i Zawilińskiego. Punktem wyjścia był odczyt dyr. W. Schmidta »O nauce składni łacińskiej« i Kleczkowskiego »O gramatykach równoległych«. Trzydniowe obrady ustaliły szereg spornych kwestyj z zakresu terminologii i klasyfikacji gramatyki polskiej, która oprócz swych własnych celów i zadań ma stanowić silną ogólną podstawę dla innych gramatyk w szkole średniej — teraz już naprawdę polskiej.

Dr. A. Kleczkowski.

Z dziejów polskich wyrazów i zwrotów.

Mocarny.

Oddawna istniało nazwisko czy przezwisko *Mocarny*. W metrykach parafji nowotarskiej najstarszy dotąd mi znany przykład sięga roku 1749. Do dziś dnia utrzymuje się nazwa, więc mamy np. Jaśka Stopkę *Mocarnego* z Zakopanego, Kubę Dermę *Mocarnego* z Klikuszowej i innych *Mocarnych*.

Cóż myśli każdy *ceper* przybyły w te strony, słysząc taki piękny przydomek? Oczywiście z respektem rzuci okiem na muskuły

osobnika obdarzonego tem mianem, dopatrując się owej *mocy*, nadzwyczajnej siły, która mu je wyrobiła; względnie wyobraża sobie, że jeżeli już nie ów osobnik, to przynajmniej jakiś jego przodek, może jeden z tych »honornych zbójników«, co to »świat równali«, był podhalańskim Wyrwidębem. W tem też znaczeniu używają tego wyrazu nowsi pisarze: *mocarny*, to jest mocny silny, potężny.

Tymczasem nasz *Mocarny* pierwotnie nie miał nic a nic wspólnego z *mocą* i do dziś dnia na Podhalu nic z nią wspólnego nie ma; bo nie »hyr« o sile wyrobił danemu człowiekowi takie nazwisko, nie zapasy z »Luptokami« czy z niedźwiedziem, ale najpospolitsze moczarzysko, *moczar* czyli, jak na Podhalu nazywają, *ta mocârz*¹⁾. *Mocarny* to nie siłacz, ale posiadacz gruntu podmokłego czy mieszkania nad moczarem, w każdym razie nie mogący się chwalić zbyt dobrą rolą, coś jak ten Kuba Wodny w »Orlicach« Tetmajera. W języku literackim lub w gwarze niemazurzącej brzmi on *Moczarny*, a wtedy ginie zupełnie pozorna łączność z *mocą*. I tak też w Liber natorum parafji nowotarskiej zapisał to nazwisko proboszcz czy wikary w roku 1749: *Moczarnianka*. Mazurzenie t. j. wymowa *cz* jak *c*, nadało mu nieco inny wygląd i pomogło do nabrania innego, nowego znaczenia u tych, którzy nie mazurzą.

Przyppuszczenie o powstaniu nowego literackiego *mocarny* = silny opieram na paru niewątpliwych dotąd przesłankach.

W słowniku staropolskim do połowy XVI wieku, przygotowanym do druku przez prof. Łosia, tak samo jak i w słowniku Lindego niema wyrazu: *mocarny* = silny; nie zna go również słownik gwarowy Karłowicza. Jest w języku staropolskim i ludowym *moczar*, *moczarka* na oznaczenie siłacza, u Lindego *moczarski* = silny, ale brak *mocarnego*. Dopiero Słownik Warszawski przytacza dwa przykłady i to z najnowszych czasów, z Sienkiewicza »Krzyżaków« i z Orkana. Obaj pisarze są związani ściśle z gwarami góralskimi, Orkan niemal w całej swej twórczości, Sienkiewicz w »Krzyżakach«.

Natomiast od rzeczownika *moczar* ma tak Linde, jak i Słownik Warszawski, dawny przymiotnik *moczarny* = moczarzysty, podmokły. Które gwary ludowe go używają, niewiadomo, bo Karłowicz go nie przytacza; nie podaje go i Dembowski z Podhala, niema u niego również rzeczownika: *ta mocârz* — 2 prz. *téj moczarze*, zdrobniałego *mocórka*. I rzeczownik i przymiotnik, brzmiący oczywiście u górali: *mocarny*, znam z Zakopanego, Nowego Targu, Klikuszowej, Waks-munda, Załuczego, np. *mocarnâ łąka*, *mocarne siano*, *mócarny gazda*.

¹⁾ *moczarzow* już u Długosza Lib. Ben. t. III, str. 356 obok *moczary*.

i t. p. Nigdy jednak *mocarny* nie oznacza siłacza, przynajmniej w starszej generacji góralskiej. Zabawne nawet nieporozumienie wywołał ten wyraz, użyty właśnie w »Krzyżakach«, u wcale czytanego pisarza ludowego dziś już nieżyjącego Andrzeja Tyłki Sulei-rodem z Kościelisk. Oto raz dziwił się, jak Sienkiewicz mógł nazwać książąt, bogaczy *mocarnymi*. Nie zdawałem sobie w pierwszej chwili zupełnie sprawy, dlaczego mu ten przymiot wydał się tak nieodpowiednim dla koronowanej osoby i nie żądałem wcale wyjaśnienia; dopiero znacznie później doszedłem do przyczyny pomyłki: *mocarny* był dla niego *moczarzystym*, nie *potężnym*. Gdyby był jeszcze natrafił w powieści na zwrot: *mocarne dłonie* lub coś podobnego, to myślę, że nieporozumienie byłoby wykluczone; wszak trudno myśleć o *moczarzystych* dłoniach; ale *mocarny książę* zbyt przypomina *mocarnego gazdę*, *Mocarnego Stopkę*. I dlatego też należy przypuścić, że nie przymiotnik *mocarny* użyty jako przymiotnik (*mocarne siano*, *mocarna łaka*), ale nazwisko (*Jasiek Mocarny*), gdzie trudniej wpaść na łączność z *moczałem*, nasunął niemazurzącemu literatowi kombinację *moc* — *mocarny* = silny.

Może bliscy będziemy prawdy przypuściwszy, że tym literatem, który pierwszy rozumiał *Mocarnego* jako siłacza i tak go wprowadził do języka literackiego, był Sienkiewicz.

Juljusz Zborowski.

Rozmaitości.

Lotnik czy latacz?

W lutowym zeszyte Poradnika Językowego uważa Dr. H. W. wyraz *lotnik* za gorszy od *latacza* z trzech powodów. Po pierwsze, że był niepotrzebny; po wtóre skoro *składnik*, *zbiornik* a *składacz*, *zbierracz* to co innego, więc może i ten, co lata, to *latacz*, a nie »lotnik«; po trzecie *lotnik* pochodzi od przymiotnika *lotny*, który ma inne znaczenie, a dopiero pośrednie od *lotu*. — Pierwszy powód można uznać; natomiast wystarczy przypomnieć wyrazy takie jak *mielnik*, *zbójnik*, *skarbnik*, *wodnik*, *porucznik*, *rysownik*, *pracownik* i wiele podobnych, aby się przekonać, że drugie dwa zarzuty nie są słuszne. Więc i *lotnik* ma papiery w porządku, a nadto tę wyższość nad *lataczem*, że jest młody i jakiś strojnniejszy od uciążliwego, ale trochę zacofanego *latacza*. A że *de gustibus non est disputandum*, więc już *latacza* nie wsadzimy na *latawca*, a tem mniej na *samolot*.

J. R.

Co znaczy zaistnieć?

Zapytuje w zeszytcie stycznim (1919) Poradnika Językowego p. Bugayski, co znaczy ten nieznan mu dotąd dziwoląg stylu urzędowego galicyjskiego. Otóż ten wyraz jest niewątpliwie nowotworem, wprowadzonym niedawno do języka prawniczego, ale obecnie używają go już prawnicy w Galicji powszechnie. Nie mam wcale zamiaru kruszyć o niego kopji; zapału doń żadnego nie czuję, ale jestem zdania, że nie jest on poczwara i coś znaczy. Jak obok *jaśnieć, czernieć, grzęznąć, płonąć* i t. d. mamy *zajaśnieć, zaczerwieć, zagrzęznąć, zapłonąć* i t. d., tak *zaistnieć* znaczy, że coś, co przedtem nie istniało, weszło w życie i już istnieje. Widać potrzeba było prawnikom takiego słowa.

J. R.

Etykiety.

Ludzie nieraz są jak flaszki z napisami: noszą na sobie etykiety; a więc socjalista musi być *towarzyszem*, republikanin — *obywatelem*, sokół — *druhem*. Gdy się zwracamy z podaniami do urzędów lub innych instytucyj publicznych, dobieramy odpowiednich przymiotników: *Wysoki, Świątny, Dostojny, Szanowny*... Wysyłając zwykły list prywatny, przed nazwiskiem adresata piszemy: *Wielmożny* lub *Jaśnie Wielmożny*, w razach wyjątkowych innych jeszcze używamy przymiotników. List musi się zaczynać od uświęconego tradycją zwrotu, który nie jest jednak powszechny w całej Polsce: w Królestwie piszą *Szanowny Panie*, w Galicji zaś *Wielmożny* lub *Łaskawy Panie*, bo *szanowny* tutaj uważa się za coś podrzędnego. Czyby w demokratycznej Polsce nie zerwać raz już z tą śmieszną chińszczyzną? Pouczającym to jest chyba, że ministra n. p. w Monako tytułuje się *Ekscelencją*, a do prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej mówi się: *Panie Prezydencie*. Nie tylko w republikańskiej Francji adresuje się listy: *Monsieur, Madame* bez żadnych dodatków, ale w arystokratycznej Szwecji do *Herr* nie dodaje się niczego. Warto by i u nas się zgodzić na to, aby jeden wspólny był dla wszystkich jedyny tytuł: *pan, pani*, i to zarówno w stosunku z osobami prywatnymi, jako też i z dostojnikami państwowymi, a przy zwracaniu się do urzędów i instytucyj ograniczyć się do ich nazwy, również bez używania »epitetów ozdobnych«. J. Ł.

SPIS RZECZY: Słowo wstępne. — O zjawiskach i rozwoju języka: 7. Mowa a myśl J. Rozwadowskiego. — Podział na części mowy J. Łosia. — Do dziennikarzy polskich. — Z dyletantyzmu językowego K. Nitscha. — W sprawie słownika wojennej gwary żołnierzy polskich St. Wędkiewicza. — Gramatyki równoległe A. Kleczkowskiego. — Z dziejów polskich wyrazów i zwrotów: «Mocarny» J. Zborowskiego. — Rozmaitości.

CENA ZESZYTU K. 2:50.

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.